Nr. 6. We Lwowie dnia 11. lutego 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Kilka słów w obronie prawdy historycznej.

(Z powodu Ignacego Martinowicza).

Historji uniwersytetu lwowskiego, napisanej przez profesorów: dra Ludwika Finkla i dra Stanisława Starzyńskiego, nie czytałem, ale przypuszczam, że sprawozdawca, pisząc o niej powtórzył tylko to, co w niej wyczytał. Otoż w sprawozdaniu tem znajduję taki ustęp: »Profesorem wszechnicy wówczas, (t. j. wkrótce po otworzeniu uniwersytetu) nietrudno było być, a jak zobaczymy, i zostać nim łatwo można było. Na filozofji był profesorem Ignacy Józef Martinowicz, eksfranciszkanin, ateusz i polityczny fanatyk, który, napisawszy raz dzieło, nie chciał zdradzić się swem pismem, posyłając je do druku. Pociął więc cały mszał na litery i kleił z nich tekst swego dzieła, aż znudziwszy się, do pieca je wrzucił. Skończył ten teolog haniebnie, ścięto go w Budzie w r. 1795«.

Jeżeli »obszerna, wyczerpująca i źródłowa praca« (jest to zdanie sprawozdawcy) zawiera więcej tak dokładnie i bezstronnie zbadanych faktów, jak przytoczony, to, niestety, ma ona jednak tę wadę, że się rozmija z prawdą historyczną. Mniejsza o to, że ekskapucyna nazwano eksfranciszkaninem, ale dla czego miał być on ateuszem? Ponieważ sam zbierałem szczegóły biograficzne o Martinowiczu (Historja ruchu społecznego w drugiej połowie XVIII. stulec. str. 242, Lwów 1888.), więc wiem, że należał on do iluminatów, którzy byli wprawdzie wolnomyślnymi katolikami, ale ateuszami mogli być tylko w mniemaniu jezuitów. Martinowicz, po wyjeździe już swoim ze Lwowa, spełniał w kościele węgierskim wysokie godności, i trzeba przypuszczać, że chyba nie posądzano go jeszcze o ateuszowstwo.

Naukę nawet byłego profesora lwowskiego poddano w wątpliwość. A przecież w ówczesnym świecie naukowym powszechnie ją uznawano, i na wykłady jego lwowskie z mechaniki i fizyki licznie gromadzono się. Pocieszna, jeżeli prawdziwa, anegdota o pociętym mszale, niczego nie dowodzi. O Staszicu jeszcze więcej da się powiedzieć pociesznych anegdot, a jednak uznajemy w nim powszechnie potężnego myśliciela i uczonego geologa.

I w ten sposób uwłaczający został przedstawiony jeden z pierwszych szermierzy wolności demokratycznej w Węgrzech! Nazwano go politykiem fanatycznym. Dla czego? Czy dla tego, że pragnął niepodległości swojej ojczyzny, że chciał wolności ludu, że marzył o równości wszystkich obywateli?! Ależ w takim razie i naszych wielkich patrjotów-demokratów z r. 1794, nie wyłączając i Tadeusza Kościuszki, możnaby nazwać politycznymi fanatykami. I byli przecież tacy, co się nie wahali ich tak nazywać. Zbrojne powstanie na Węgrzech w r. 1794 nie przyszło do skutku. Głównych spiskowców stracono. Martinowiczowi ucięto głowę w Budzie 20. maja 1795 r. Zginął-że on haniebnie?

O matko Polsko! źle się twoi historycy bawią. Kiedy ze zwyciężonymi »walkę stoczy sąd krzywoprzysiężny«, oni przyjdą potwierdzić ich wyrok swoim sądem.

B. L.

PROSTA OPOWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

Błażkowa związała nieco obwleczenia dla siebie i dzieci, wzięła bułkę, chleba i serek. Oto wszystko, co wynosiła z tej zagrody, w której przez lat tyle była gospodynią i gdzie przeżyła długi szereg dni szczęśliwych.

Strażnicy zawieźli ją do Blindowa, jej rodzinnej wioski, oddalonej blisko o trzydzieści wiorst od wsi, w której pozostawiła męża. Jechała dniem i nocą i zagrożono jej zesłaniem na Sybir, jeśliby śmiała do Korabiny powrócić.

Dla Błażka zaczęło się teraz straszne życie. Nikt nie pamiętał o jego posiłku, nikt mu szmaty nie przeprał, nikt dobrego słowa nie dał. Żył lat dwadzieścia ze swoją niewiastą i oto porwano mu ją z przed oczu, a on nawet tej pociechy nie miał, by ją na drogę pożegnać.

Cios był zbyt silny, nieszczęśliwy popadł w jakąś dziwną martwotę.

Czas siewów nadchodził, on o nich ani myślał. Wszystko stało mu się obojętne. Sąsiedzi bali się, żeby sobie coś złego nie zrobił.

— »Kiejby go coś odmieniło« — mówił Szymon Stępniak — »o nic nie pamiętliwy, o nic się nie frasuje... prawda, gmina sprzedała mu konie za podatki, ale byśwa mu pożyczyli, coby to było potrza... siedzi ino i siedzi w chałupie, w ciemnicy i pewnikiem, chociażby jasne pioruny waliły, abo ognisty deszcz z nieba leciał, toby się ta i nie ruszył«.

— »Nie dziwota« — odpowiadali gospodarze — »abo to mu baby i dziecisków, i bydląt nie żal!«

Jasiek i brat jego uczuwali też opuszczenie. Zrazu gorąco zabrali się do roboty, pracowali z całych sił, zaprzęgali ostatnią krowinę, żeby zwieść snopki do stodoły. Były to niezłe chłopaki, powoli jednak, nie zachęcani i nie przynaglani przez nikogo, zaczęli się opuszczać. Coraz rzadziej widywano ich w polu, biegali po lesie, zbierali orzechy, a jak raz na dzień wykopali garść kartofli i upiekli je w popiele to — i było dość. Krowa nieraz całemi dniami stała nienakarmiona i niedojona, z ogródka żebracy i włóczęgi wykradli, — co się dało.

Błażek nie skarżył się na nic. Sąsiedzi litowali się nad nim. Ten przyniósł kromkę chleba, ów łyżkę ciepłej strawy, boć serce ściskało się na widok wychudzonego, do starca dziś podobnego kmiecia, proboszcz i p. Polański zachodzili też do niego.

— »Zlituj-że się nad samym sobą, Błażku, weź się do czego, to grzech zaniedbywać tak własne dzieci!«

Wszystko daremnie.

Nareszcie Maćkowa, najstarsza kuma we wsi, poradziła Błażkowi, żeby potajemnie odbył pielgrzymkę do Częstochowy. Myśl ta zdawała się budzić Błażka z martwoty. Wiedział, że od niepamiętnych czasów Matka Boska Częstochowska była pocieszycielką strapionych i nieszczęśliwych. O, gdybyć ona, Pani Anielska, zdjęła ten straszny ciężar z jego serca!

Jak on się do tego wziął, żeby się połączyć z pątnikami w Mściłowie, nikt nie wie, dość, że powędrował z nimi.

Ojciec Paulin, przed którym się wyspowiadał, przekonał go, że Bóg, im więcej kogo miłuje, tem cięższe krzyżyki na niego zsyła, im dotkliwiej człowiek cierpi na tej ziemi, tem większa szczęśliwość czeka go na tamtym świecie. Błażek przypomniał sobie, jak mu kiedyś jego biedny Franek czytał z pisma świętego historję Joba, któremu psy rany lizały. Wszyscy go opuścili, nikt nie chciał na niego patrzeć, a przecież Bóg miłosierny przemówił do niego.

Gdy po kilku tygodniach Błażek do wsi powrócił, wszystkich uderzyła zaszła w nim zmiana.

— To Matka cudowna rączką swoją przenajświętszą go dotknęła i wylekowała, — mówiła Maćkowa.

Wyraz twarzy wieśniaka był jakiś promienny, nie mówił wiele, ale to, co mówił, tchnęło rezygnacją i spokojem. Tak, stał się cud. Błażek zabrał się do roboty, z pomocą dobrych ludzi zorał, i pomimo spoźnionej pory, zasiał jeszcze cośkolwiek. Wieczorem odmawiał z synami litanję i koronkę i tak mocno bił się w piersi, że aż na drodze słychać było. O swojej niewieście nie miał znikąd ani słychu, ale codziennie ją i dzieci polecał gorąco opiece boskiej. Wierzył i był cierpliwy.

Pop z pisarzem dowiedzieli się przecie, że Błażek był w Częstochowie i wytrwale męczyli go, żeby uczęszczał na nabożeństwo do cerkwi. Błażek pozostał niewzruszony: nie odpowiadał na żadne zapytania, dotyczące jego pielgrzymki i ze stoicyzmem znosił baty strażników. Znęcaniu się nad nieszczęśliwym nie było końca. Szpiegowano go, przywoływano co chwila to do popa, to do naczelnika powiatu, to do sądu, obciążano podatkami, karami za rozmaite przewinienia, których nigdy nie był popełnił.

Sława jego rozniosła się szeroko. Mówiono o nim nietylko w chałupach, ale i po dworach. Właściciele dóbr okolicznych i księża opowiadali z podziwem o heroicznej wytrwałości wieśniaka, archierej dopytywał się o niego, a w miasteczku, pomiędzy urzędnikami, Błażek był przedmiotem rozpraw nieskończonych.

W chałupie tymczasem nędza wzrastała straszna. Chłopcy chodzili obdarci, Błażkowi buty omal z nóg nie spadały. Kary nie wyczerpywały się. Trzeba było płacić, płacić bez końca

i gdyby nie Mosiek z miasteczka, Błażek nie wiedziałby, skąd brać pieniędzy.

A przecież ludzie żałowali go więcej, niż on sam siebie żałował. Pogoda, którą był przyniósł z Częstochowy, nie opuszczała go.

— Raz ino człek żyje na tym świecie, — mawiał — i tylo to przenieść może, co mu jest przeznaczone, co się Panu Bogu spodoba na niego spuścić... I cóż mi mogą zrobić popy i te wszystkie psy z Chełma? wiary mi oni mojej nie wyrwą z duszy...

Ludzie podziwiali go i mieli cześć głęboką przed wolą niezłomną, jaka wiała ze słów Błażka i jego spojrzenia. Uważali go prawie za świętego. To jeszcze bardziej drażniło popów.

Lata płynęły. Błażek dowiedział się w końcu, że jego Jagna przygarniętą została z dziećmi w polskim domu, w swej rodzinnej wiosce, i że znalazła tam zajęcie przy kuchni. Jego położenie pogarszało się z dniem każdym, wreszcie musiał opuścić swoją chatę i skibę, pozostała mu jeno sukmana licha na grzbiecie i medalik z Najświętszą Panną Częstochowską. Synów umieścił za parobków, sam dostał robotę w lasach p. Polańskiego.

Popi i tu go znaleźli. Nie nasycili się jeszcze zupełną ruiną biedaka. Nadeszła też i odpowiedź na prośbę Błażka, posłaną aż do Petersburga, w celu otrzymania pozwolenia na pozostanie w wierze ojców i wspólne pożycie z żoną. Odpowiedź była odmowną.

Wyrok, nadesłany przez konsystorz Chełmski do urzędu gminnego w Korabinie, ściągnął znów ogólną uwagę na głowę Błażka. Męczeństwo jego spotęgowało się jeszcze. Strażnicy, prowadząc go do miasta, bili go i popychali, pop obiecywał, iż go na Sybir wyślą, a naczelnik groził, że go wtrąci do więzienia. Co gorsza, zaczęto prześladować proboszcza i p. Polańskiego.

Denuncjacja, przesłana władzy, dowodziła, jakoby proboszcz podniecał upór i zaciętość Błażka, i biedny księżyna, bez dowodów winy, został przeniesiony do oddalonych gubernji na wschodzie. P. Polańskiego skazano na wysoką karę za to, iż przyjął do służby człowieka, jawnie występującego przeciw rozporządzeniom władzy.

P. Polański gorąco bronił swego leśnika i pomimo narażenia się na ponowną karę, chciał go zatrzymać. Ale Błażek, dowiedziawszy się, że strażnicy nie przestają wałęsać się około dworu i domyślając się, że to było z jego powodu, sam służbę porzucił.

Został bez chleba i dachu.

Synowie jego, słabsi niż on, nękani również i prześladowani, nie opierali się dłużej. Biedne dzieci! sił im nie stało! Błażek płakał nad nimi, ale odtąd, pomiędzy nim a jego chłopcami, stanęło coś, co mu już nie pozwalało przyjmować kawałka chleba z ich ręki.

Nie zbrakłoby pewnie litościwych ludzi we wsi, którzyby Błażka ogrzali przy własnem ognisku i nakarmili... ale cóż? on sam rozumiał, że mógłby i na nich sprowadzić takie utrapienie, jak na księdza i dziedzica.

— Boże, mój Boże! co począć, kaj się obrócić?

Noce i dnie spędzał teraz w lesie. Pod zielonem sklepieniem dębów śpiewał hymny pobożne i modlił się głośno.

Pewnego razu myśl dziwna zaświtała w jego głowie. Było to życzenie, jakie pewnie nie postało jeszcze w niczyjej mózgownicy. A może to Bóg sam zesłał mu takie objawnienie? Czyżby mu i tego odmówili? O, nie — wszak to, o co on prosić będzie, było uważane dotąd za najsroższą karę...

Zbliżał się koniec września. Ludzie z mozołem kończyli ostatnie siewy, szemrząc przeciw suszy, która zamieniła ziemię w istny popiół i przedwcześnie pożółciła liście. Wszyscy śpieszyli, co ino sił starczyło, każdy miał roboty wyżej uszu, gdy w tem wójt rozesłał wszędzie rozkaz oczyszczenia dróg, z powodu rychłej wizyty gubernatora. Obywatele musieli dostarczyć rozstawnych koni, a na kucharza p. Polańskiego spadł obowiązek przygotowania uczty, w sali posiedzeń gminy.

Wszystko udało się wedle życzenia przedstawicieli władz urzędowych, w szczególności zaś uczta.

Gubernator pochwalił majonez z ryb, ze smakiem jadł śmietankowe lody i musiał być w wybornem usposobieniu, skoro nawet do pisarza zwrócił się z łaskawem słowem.

Obejście gubernatora odznaczało się spokojem i łagodnością. Wiedziano doskonale, że nieubłaganym był polakożercą, ale z zimną krwią, grzecznie i uprzejmie spełniał swoje posłannictwo.

Lubił też pozować na wielkość i upokarzać swoich podwładnych, których służalcza uniżoność przyjemnie łechtała jego próżność. Niezmiernie chętnie bawił się w odbieranie próśb, rozkoszował się błagalnemi spojrzeniami biedaków i przybierał wystudjowane, protekcjonalne pozy. Czuł się stworzonym do panowania. Co prawda, taki gubernator na prowincji w Rosji, bywa zwykle niezaprzeczonym samorządcą.

Dok. n.

POCAŁUNEK.

Obrazek Karoliny Świetli.

Zadzwoniono na południe i wnet potem żałośniej jęknęły dzwony, żegnając odchodzącą z tego świata duszyczkę.

Bawiące się na placu dzieci nie zwróciły na to żadnej zgoła uwagi, mężczyźni pozdejmowali wprawdzie czapki, lecz zachowali się przy tem obojętnie, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie zaszło; na kobiety jedynie wywarło to wstrząsające wrażenie. Porzuciły też natychmiast zajęcia swoje, — ta u pieca, przy którym warzyła obiad, tamta w obórce, gdzie doiła właśnie krowy, inna znów w komorze, skąd wyganiała, korzystając z pierwszego pogodnego dnia, kurz zimowy, i zbiegły się, niby na komendę, — jak zwykle zresztą bywało w takich razach — pod starą lipę, rozkładającą wśród górskiej wioski, obok starego kościołka, stuletnie swoje konary.

— I któżby to mógł tak nagle zamrzeć? — zapytują się wzajemnie, a żadna nie umie na pytanie odpowiedzieć. Nie słyszały nawet, aby ktoś był niebezpiecznie chory w ich parafji. Sąsiadki z poblizkich wsi nic o tem przynajmniej nie wspominały, gdy — podług ulubionego, a zdawna przez obie strony przyjętego zwyczaju — gawędziły z niemi w niedzielę przed sumą tu właśnie, na cmentarzu, — od niedzieli zaś upłynęły dwa dni zaledwie.

Zgadują nasze góralki, zgadują, ktoby mógł być owym nieboszczykiem, a wymieniając z koleji wszystkich starców, składają pobożnym ruchem dłonie i żegnają się co chwila, aby nie powiedziano o nich, że nie z uczucia chrześcijańskiej miłości, lecz ze świeckiej jedynie ciekawości pośpieszyły pod lipę kościelną. Nie przeszkadza to im wszakże wcale rachować pilnie uderzeń dzwonu, a myślą ścigać raczej zakrystjana, niż odlatującą z padołu łez duszyczkę.

Serce dzwonu po dwakroć uderza — ha, więc to kobieta staje teraz przed sądem bożym, zmarłego bowiem mężczyznę żegnałoby uderzeniem trzykrotnem. Nowe zdumienie i domysły pod lipą: któraż to i gdzie do wiecznego ułożyła się spoczynku?

Umawiają się nakoniec między sobą sąsiadki że zaczekają pod lipą na zakrystjana, aby go zaraz, skoro tylko wyjdzie z kościoła, wypytać mogły o wszystko, jak się patrzy. Niech tam sobie bydlątka u próżnego żłobu ryczą, ile im się podoba, niech pieczeń w rurze się przepala, niech kotka gospodaruje w otwartej komorze i zjada, co jej smakować najlepiej będzie, niech mąż zrzędzi, nie mogąc się doczekać obiadu — one z tego miejsca krokiem się nie ruszą, dopóki nie dowiedzą się, co wiedzieć pragną. Warto, zaiste, ponieść drobną ofiarę, aby najświeższą zdobyć nowinę. Wszak i mąż zapomni rychło o gniewie, gdy żona mu ją przyniesie i nietylko dziś, lecz przez długi szereg dni we wszystkich chatach nie będzie końca gawędom o tej nagłej śmierci i niespodzianym pogrzebie..

Kto o tem jeszcze nie wie, temu należy wyjaśnić w tem miejscu, że gawędka dla nas, górali, bywa tem, czem dla ryby woda, dla dziecka miód, dla ptaka wolność, dla łąki rosa. I ktoby chciał, abyśmy się jej wyrzekli, tenby żądał chyba śmierci naszej. Zgodzilibyśmy się raczej wszyscy, ilu nas jest pod Jesztedem *, obchodzić się bez chleba i bez soli, niż bez tej naszej ulubionej, słodkiej gawędki: nie wyrzekniemy się jej nigdy, ona nas bowiem pociesza, krzepi, uzdrawia, ona jest naszą spowiedzią.

Za żadne skarby świata dziewczyna nie poszłaby u nas sama jedna po trawę, ani dziecko po jagody, ani mężczyzna w dalszą drogę, ani kobieta po chrust do lasu. Wszystko, co robimy, we dwójkę robimy, w przeciwnym bowiem razie robota nam się nie udaje, nudzimy się i zniechęcamy do niej szybko. Ale skoro tylko znajdzie się obok nas jakaś istota ludzka, z którą możemy gawędzić o wszelkich możliwych i niemożliwych rzeczach, wówczas, proszę państwa, robota pali się nam w ręku i wykończamy ją tak gładko, że miło na nas patrzeć.

Sąsiadki stoją tedy, niby na rozżarzonych węglach, nie mogąc się kościelnego doczekać. Jakże długo zabawia się dziś w zakrystji! Znać już po nim, że starzeć zaczyna, i pan fararz** powinienby sobie poszukać kogoś żwawszego.

Nareszcie ukazuje się w progu.

— I któż to zmarł u nas, kumie? — wołają na jego widok wszystkie sąsiadki naraz, jak gdyby miały jedno tylko wspólne gardło, i to tak donośnie, że wcale nie słychać zgrzytu klucza, obracającego się w zamku, chociaż kiedyindziej przy otwieraniu i zamykaniu drzwi kościelnych zgrzyt ten dreszczem przejmował od stóp do głowy słuchających.

— Jakto? dotąd nie wiecie? — zdziwił się, mierząc kumoszki ironicznem spojrzeniem, zakrystjan, którego żarty trzymały się jeszcze, chociaż głowę miał podobną do jabłoni, gdy ta kwieciem się osypie, a plecy całkiem przygarbione. — Dokądżeby to zapisać takie dziwo? Powiadam wam, że spotka nas jakaś katastrofa, skoro już dzieją się u nas rzeczy tak niesłychane. A może to teraz właśnie spełni się stara o naszych górach przepowiednia: zapadną one wskróś ziemi, a na ich miejscu wystąpi jezioro!

— Dość nasłuchałyśmy się was, gdyście dzwonili w kościele, niepotrzebnie więc teraz

---

* Jeszted, góry w północnych Czechach. (Przyp. tłum.).

** Fararz, proboszcz. (Przyp. tłom.).

wydzwaniacie językiem, aby przypominać, że jesteście naszym zakrystjanem.

— Ale jakżebym mógł się nie dziwić? Wszak dotąd wiedziałyście zawsze o wszystkiem na godzinę wcześniej, niż człowiek, którego się to bezpośrednio tyczyło, doświadczył tego na sobie; jakżebym więc mógł przypuścić, że dotąd jeszcze nie wiecie, jako młoda Łukaszowa spoczęła w Panu?

— Młoda Łukaszowa? Nie może być! Wszak wczoraj jeszcze spotkałam ją późnym wieczorem w wąwozie!

— I ja widziałem ją wczoraj, gdy wieszała na płocie upraną bieliznę.

— A jednak, jak to już powiedziałem, młoda Łukaszowa spoczęła w Panu. Skonała przed samem południem, pozostawiając po sobie malutką córeczkę.

— Ach, ty nieszczęśliwa sieroteńko! jakże boleśnie było matce rozstawać się z tobą na zawsze.

— Skonanie miała podobno nader lekkie, nie wiedziała nawet, że odchodzi tam, dokąd my wszyscy za nią kiedyś pośpieszymy, jedni wcześniej, inni później. Usnęła, aby się już na tym świecie nie obudzić.

— Daj jej, Boże, słodkie odpoczywanie!...

— I szczęśliwe zmartwychwstanie! Wszystkich pięciu *p** nie posiadała, ale nie była złą kobietą.

— A jednak nie roztrzaska sobie Łukasz głowy o mur z rozpaczy nad jej śmiercią...

— O zapewne! wszak ożenił się z nią dla tego jedynie, że taką była wola nieboszczyka jego ojca i nieboszczki matki i że rodzice grozili mu klątwą w razie nieposłuszeństwa. Ach, każdy, kto ją widział u boku Łukasza, musiał przyznać, że ci dwoje nie byli dla siebie stworzeni. Łukasz wygląda, jak gdyby na trzech zamkach naraz słuchać musiano jego rozkazów, ona zaś pochylała przed nim główkę, niby giętki powój. Nie było w niej nigdy rzeczywistego zdrowia ani siły.

— Teraz nakoniec Łukasz będzie mógł pojąć za żonę tę, którą serce jego wybrało. Życzę mu tego z całej duszy, było mi bowiem żal serdeczny chłopca, gdym go widziała, stojąc tutaj właśnie, koło lipy, idącego na ślub; twarz miał tak bladą, jak gdyby druchny nie do ołtarza go wiodły, lecz na śmierć. Każdy z nas dąży do szczęścia i zadowolenia. A trzeba i to przyznać, że niewielu posiadamy takich, jak on, sąsiadów; nikomu krzywdy nie wyrządzi i innym wyrządzić nie pozwoli; jeżeli w czem może komu usłużyć, czyni to chętnie; daje się wprawdzie unosić niekiedy gwałtowności swego charakteru, lecz któż ma prawo twierdzić o sobie, że jest bez winy?

— I ktoby był powiedział Vendulce Paluckiej, że przecież wyjdzie kiedyś za Łukasza? Od chwili, gdy ogłoszono jego zapowiedzi z inną, nie było jej widać ani na tańcach ani na odpustach, a przecież dziewczę to żwawe, jak ogień, jak żywe srebro. Skoro nie mogła zostać żoną Łukasza, postanowiła wcale nie wychodzić za mąż.

— Co mogli jednak mieć przeciwko niej rodzice Łukasza? Pojąć tego nie mogę: wszakże nie brak dziewczynie ani urody, ani zamiłowania do porządku, ani wiana, ani pracowitości. Pozostaje nadto w pokrewieństwie z ich rodziną.

— Ta ostatnia właśnie okoliczność stanęła na przeszkodzie ich związkowi. Rodzice jego byli tak drażliwi na punkcie kwestji religijnych, że za nic w świecie zgodzić się nie chcieli na małżeństwo tych dwojga, których pradziadkowie byli rodzonymi braćmi, uważając to za grzech. Nie dali się nawet przekonać księdzu proboszczowi, mniemając, że nikt nie zna dokładniej od nich woli boskiej. Byli też głęboko przekonani, że sami tylko dzierżą klucze od królestwa niebieskiego.

— A więc to tak rzecz się miała? Łamałam sobie nieraz głowę nad tą zagadką od roku, to jest od czasu, gdym zamąż wyszła do waszej wsi. Każdy nerw musi drgać teraz w Vendulce, jeżeli wie, czyją śmierć zwiastowały dzwony.

— Ze ślubem Łukasz zapewne zwlekać nie będzie, a nawet nie powinien, bo gdzie obora pełna dobytku, dom pełen czeladzi, a w kolebce niemowlę kwili, tam mężczyzna nie da sobie rady przez czas dłuższy bez gospodyni. Nie ulega przeto wątpliwości, że po odprawieniu żałobnego nabożeństwa za nieboszczkę w sześć tygodni po jej śmierci, pójdzie młody nasz wdowiec prościuteńką, jak wystrzelił, drogą do Paluckich — w swaty.

C. d. n.

Tłumacz. z czeskiego
M. W.

* Znana i u nas sentencja, podług której młoda dziewczyna powinna wnieść mężowi w posagu pięć *p*, będąc: *puella, pudica, pia, pulchra* i *pecuniosa*. (Przyp. tłum.).

Ze sztuki.

I.

»Obok »gruntownego studjum estetyki« »znajomości historji sztuki, etyki i psychologji« krytyk musi mieć jeszcze jedną konieczną zaletę a mianowicie: powinien się znać n a s a m e j s z t u c e. Bez tego dodatku można być estetykiem »objaśniającym początek, znaczenie i ostateczny cel ideałów ludzkich«, można zajmować stanowisko worka z piaskiem, osłabiającego siłę zderzenia się i d e a l i z m u z r e a l i z m e m, ale

w żadnym razie niemożna być krytykiem dzieł sztuki«.

Tak pisał mniej więcej przed 10 latu Stanisław Witkiewicz, który swemi krytykami w pismach warszawskich w ciągu lat sześciu, sprowadził formalną rewolucję w świecie naszym artystycznym, publiczność nauczył patrzyć na dzieła sztuki, a krytyków oduczył pisania niedorzeczności.

Oduczył — ale nie wszędzie, bo przeglądając większość »uczonych« i mniej uczonych lwowskich krytyk sztuki, jakich powódź zjawiła się podczas wystawy krajowej, a po wystawie jeszcze dotychczas nie opadła, spostrzegamy, że ich autorowie kwalifikują się w najlepszym razie do kategorji, wspomnianych przez Witkiewicza »worków z piaskiem« lub, co gorzej nawet, »bez piasku«, bez żadnej treści i sensu...

A przecież zanosiło się na to, że będziemy mieli we Lwowie wcale dobrą krytykę artystyczną!... Pisał o sztuce Jan Zdora, pisał lekko, fejletonowo, ale z widoczną, niezaprzeczoną znajomością rzeczy; głębokiem zrozumieniem sztuki nacechowane były krytyki Jana Zawady, nie bez wielkich zalet, choć nie zawsze bezstronne, recenzje pomieszczał p. Lewandowski. Tymczasem dwaj pierwsi zmarli, trzeci wyjechał ze Lwowa, a na ich miejscu pozostali dyletanci.

Do rzędu takich — jak sądzić można z malarskiej erudycji — należy krytyk, który zamieścił niedawno w *Przeglądzie* artykuł o naszej nieustającej wystawie sztuki, a przedewszystkiem o wystawie Augustynowicza. I to właśnie było bezpośrednim powodem, że chociaż nigdy nie zamierzałem dawniej występować w roli krytyka, teraz postanowiłem zabrać głos, nietylko aby spojrzeć bezstronnie i trzeźwo na prace Augustynowicza, lecz aby przy tej sposobności wykazać całą nicość lwowskich »krytyk artystycznych«, i przeprowadzić dowód, jak mało należy liczyć się z temi gadaninami.

Krytyk *Przeglądu*, pisząc o p. Augustynowiczu użył już sobie dosyta na nonsensach. I tak zarzucił mu brak rysunku, podnosząc zwłaszcza, jako kardynalną wadę »mglisty kontur«. Jakgdyby dobry uczeń ze szkoły realnej nie mógł pouczyć szanownego »krytyka«, że »rysunkiem« nie jest wcale »kontur«, ale to wszystko, co się da podciągnąć pod pojęcie »kształtu«, a więc anatomja ciała, rozmiary plam barwnych, ruch, lub wreszcie, jak w portrecie, nawet podobieństwo rysów, że dalej tylko niedołęga obciąga postaci na swoich obrazach konturem, a artysta powinien wywołać wrażenie kształtu i oddać rozmiary przedmiotu lub osoby przez proste przecięcie się płaszczyzn barwnych, jak to jest w naturze. Zarzucił dalej ów krytyk Augustynowiczowi »rozdmuchanie tonów kolorystycznych« (konia z rzędem temu, kto rozwiąże, co to znaczy!) i że w postaciach więcej wykańcza twarze, a mniej inne szczegóły. Na ten drugi zwłaszcza zarzut należy się krytykowi odprawa, ale tu znów oddajmy głos pewnej i dobrej znakomitości w dziedzinie krytyki artystycznej, Witkiewiczowi:

»Jeżeli z kimś rozmawiam — pisze Witkiewicz — to zwykle patrzę na jego twarz, której wyraz jest tak prawie potrzebny do zrozumienia człowieka, jak jego mowa. Ta obserwacja twarzy, skupienie na niej całej uwagi umysłu i skoncentrowanie wzroku, sprawia, iż otoczenie człowieka, jakieś sprzęty, drobne szczegóły ubrania i t. d. albo całkiem wymykają się z pod naszej świadomości, albo się je widzi w najogólniejszych, najmniej wyraźnych formach. Otóż to, co w rzeczywistem życiu dzieje się za pomocą naturalnej logiki działania ludzkiego umysłu, w fikcyjnym świecie sztuki malarz musi narzucić widzowi, zmusić go, by widział w ramach jego obrazu tylko danego człowieka, obserwował jego twarz, nie rozpraszając uwagi na żadne uboczne szczegóły. Malarze, odstępujący od takiego pojęcia portretu, nie uwzględniają psychologji widza i pozbawiają się możności wywołania wrażenia życia. Naturalnie mówiąc o widzu, trzeba pamiętać, że widzowie są różni, i że pewien stopień artystycznego wykształcenia potrzebny jest na to, żeby być widzem Valasquez'a«.

Nie myślę wcale przez to dowodzić, że p. Augustynowicz dosięgnął już szczytu doskonałości. Przeciwnie, lecz by go należycie ocenić, musiałem wpierw obalić zarzuty krytyka, który rzuca się za niego z zaciekłością, przypominającą prywatę i zawiść osobistą, a z nieznajomością rzeczy taką, że do autora owego artykułu chciałoby się zastosować zparafrazowane słowa ś. p. Stebelskiego:

»Krytyku, przebierz się i idź do szkoły!«

O ile z całej niby krytycznej gmatwaniny *Przeglądu* zrozumieć można, to Augustynowiczowi zarzucono tam przewagę w jego obrazach strony kolorystycznej nad rysowniczą. Tymczasem raczej odwrotny zarzut dałoby się mu uczynić. Augustynowicz rysować umie, a wady w rysunku tu i owdzie spostrzegane pochodzą zkąd inąd, z nerwowego temperamentu artysty Natomiast w kolorystyce był to do niedawna malarz bardzo zacofany, a dopiero jego wystawa specjalna, wykazała pod tym względem postęp znaczny i bardzo pocieszający. Augustynowicz zaczyna z pilnością i zaciętością niemal śledzić grę tych kolorów, odcieni, blasków, refleksów, które niewidzialne prawie dla oka niewprawnego, miarkują i do pewnego stopnia zmieniają kolor lokalny przedmiotu, nadając mu plastykę i piętno życia. A chociaż nasz artysta, zaobserwowawszy trafnie jakiś z owych tonów i półtonów przenosi go na płótno zbyt »surowo«, że się tak wyrazimy, zbyt dobitnie go zaznacza, jak np. w portrecie własnym, inżyniera Niemekszy, a zwłasz-

cza w portrecie jakiejś damy w jasnej sukni, to jednak lepszem to jest, niż kolorystyczna martwota innych portrecistów — którzy tylko lokalne barwy widzą — a w każdym razie świadczy to, że artysta uczynił znaczny krok naprzód.

Powiedzieliśmy, że, zdaniem naszem, Augustynowicz rysować umie, czego dowodzi choćby podobieństwo jego portretów. Zdarzają się jednak u niego wady rysunkowe, i to nieraz nie małe, mianowicie wtedy, gdy artysta, widocznie nerwowy, zlekceważy sobie poprostu jakąś partję obrazu czy portretu, która go nie porywa, lub którą z pamięci malował. Na wystawie mieliśmy wyraźny tego przykład. I tak portret małej dziewczynki miał główkę i nóżki dobrze narysowane, ale wyglądały one, jakby je przyłożono tylko do sukienki, pod którą ciała nic nie było. Nie wiem czy się pomylę, jeźli przypuszczę, że Augustynowicz malował sukienkę osobno, nie na modelu, ale porzuconą tylko na sofę?

Drugą wadą, a raczej niedomaganiem rysunkowem Augustynowicza, była dawniej nieumiejętność pochwycenia błyskawicznego, owych szybkich, sekundy zaledwo trwających ruchów, które w naturze są tak charakterystyczne. Augustynowicz wprawdzie już dawniej probował dać im wyraz w swoich obrazach, ale nie udawało mu się to, jak n. p. w akwareli: »Jarmark w Kolbuszowej«, gdzie w ludziach czuć model, którego muskuły się nie prężą w szybkim, swobodnym ruchu, lecz opadły wolne, zmęczone w przybranej pozie. Ale do owej bystrości w dostrzeganiu ruchów szybkich, nawet najznakomitsi malarze dochodzą długiemi i żmudnemi studjami, czego przykładem jest Meissonier. Jednem słowem, zdolność tę można w sobie wyrobić. Zrozumiał to Augustynowicz, który nie zamyka widocznie oczu na własne wady i w najnowszych jego pracach, np. w »Portrecie własnym« i »Portrecie inż. Niemekszy« znać dążenie do odtworzenia pozy swobobnej, ruchu naturalnego, a nieraz bardzo szybkiego, krótko trwającego. Portret p. Niemekszy może wprawdzie czasami przypominać »portret własny« Gierymskiego, ale to nie wina artysty, bo cały ruch ciała i pochylenie głowy to są właśnie doskonale podchwycone znamienne cechy postaci portretowanego. Jeszcze większe dążenie do naturalności swobody i do odtworzenia prawdziwego a nieudawanego przez model ruchu, jest »Portret własny» Augustynowicza. Portretowi tęmu jednak przedewszystkiem zarzucić wypada takie położenie głowy, że nos i usta, złożone do gwizdania, tworzą razem linję, która twarzy nadaje pozór zupełnie krzywy, a przecież mimo to ten zwłaszcza portret dowodzi, że p. Augustynowicz, ze wszystkich malarzy we Lwowie, którzy malują portrety, sam jeden pojmuje czem jest i powinien być portret i to właśnie pozwala dobrze o nim na przyszłość wróżyć, zwłaszcza, jeśli nie osłabnie w nim dążność do doskonalenia się. Z tem wszystkiem już dziś wolę jego portrety, z wszelkiemi ich wadami, niż np. bardzo sumiennie wystudjowane i wygładzone portrety p. Styki. Bo p. Styka nie maluje jednego tylko, za każdym razem innego człowieka, ale jakiś ogólno ludzki, wiecznie ten sam typ duchowy, w tej samej pozie, w tak samo opiętem, odświętnem ubraniu, z tą samą zawsze uroczystą, poważną miną. A nic mnie to nie obchodzi, że ten typ, choćby przytem dobrze namalowany, raz ma wyraz twarzy p. Mikolascha, to znów dra Byka, lub dra Marchwickiego, samo bowiem podobieństwo i choćby najstaranniejsze wykończenie szczegółów ubrania o wartości portretu nic stanowi.

Podniosłem już powyżej, że p. Augustynowicz chromał dotychczas i to bardzo przedewszystkiem pod względem kolorystycznym. Owoż na wystawie jego, oprócz pomienionych już portretów, był jeszcze inny o wiele dobitniejszy dowód, że pod tym względem pracuje nad sobą i to z bardzo pomyślnym skutkiem. Mówię o niewielkim leśnym krajobrazie zimowym, który nawet nie wykończony, bez ram, wisiał wysoko, gdzieś z boku. Naturalnie z kimś, kto pejzaż zimowy przywykł oceniać na miarę widoków, nalepianych na wierzchu bombonierek, niepodobna dysputować o tej pracy. Zresztą, zanim ten obraz zostanie wykończony, trudno szczegółowo zabierać głos o jego błędach i zaletach, to jednak zaznaczyć muszę, że całość jest bardzo dobrze odczuta i kolorystycznie pojęta, co uderzyło mnie tak, że nie dowierzając własnym oczom, musiałem aż pójść poinformować się, czy to praca p. Augustynowicza. A odchodząc z wystawy, myślałem sobie: »ten obraz jest najwyraźniejszym dowodem, że artysta nie ugrzązł raz na zawsze w swoich błędach, że się uwziął po prostu iść naprzód i że jego talent nie jest martwą literą«.

Jan Zgoda.

Rozbiory i sprawozdania.

Mathias (?) Bersohn. Studenci Polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI. i XVII. wieku. — Kraków 1894.

W roku 1890 wydał Mateusz Berson, członek komisji historji sztuki Akademji umiejętności w Krakowie, pod powyższym tytułem dziełko, zawierające krótki zbiór wiadomości o studentach Polakach, którzy kształcili się w 16 i 17 stuleciu na wszechnicy bolońskiej. Była to praca, bądź co bądź budząca ciekawość, ale niewyczerpująca z powodu braku wielu szczegółów, których znów z braku źródeł wyjaśnić było niepodobna. Studenci-Polacy,

tak samo jak i studenci innych narodowości, tworzyli t. zw. »zgromadzenia«, a właśnie księgi tegoż zgromadzenia zaginęły były. Bersohn więc oparł się w swej pracy na jedynem źródle, jakie miał pod ręką, t. j. czerpał z nazwisk i z herbów, zdobiących klatkę schodową i krużganek gmachu uniwersyteckiego w Bolonji.

Wydawszy swą pracę, autor rozpoczął skrzętne poszukiwanie owych »gdzieś zaginionych« ksiąg zgromadzeń studentów, Polaków i szczęśliwym trafem udało mu się jedną z tych ksiąg odnaleźć w bibljotece ordynacji hr. Zamojskich w Warszawie. Księgę tę odnalazł w r. 1830 w Modenie Sebastjan Campi, prof. filologji w b. uniwersytecie warszawskim i darował ją następnie do zbiorów tejże bibljoteki, co zresztą własnoręczny przypisek Campiego poświadcza. Księga owa zawiera dzieje zgromadzenia studentów od r. 1600 do 1661, jest atoli niekompletną.

Odnalezienie tej księgi skłoniło Bersohna do wydania drugiej części rozpoczętej pracy, którą też ogłosił w r. 1894 dosłownie.

W księdze tej znajdujemy liczny bardzo spis polskich studentów, co dowodem, że u nas wszechnica bolońska doznawała nie małego miru. W spisie tym znajdujemy nazwiska rodzin, które w historji naszej pierwszorzędną odegrały rolę. Znajdujemy tu nazwiska Ostrogskich, Sapiehów, Firlejów, Sieniawskich, Tęczyńskich, Korybutów, Czartoryskich, Potockich, Lipskich, Zamojskich, Chotkiewiczów i innych, nadto nazwiska, które chlubnie się zapisały na kartach naszej literatury. Wydanie tej księgi »zgromadzeń« bezwątpienia miałoby jeszcze większe znaczenie, gdyby wydawca zadał był sobie trochę wiecej trudu i przynajmniej do nazwisk więcej znanych rodzin, pododawał był bliższe szczegóły, do nich się odnoszące. Wymagałoby to, co prawda, wiele szperania i ślęczenia, ale natomiast dla historyków i dla badaczy literatury byłoby bardzo znacznem ułatwieniem.

Ową »księgę zgromadzeń« zdobi 9 tablic z kolorowanemi herbami. Prawdopodobnie każdoczesny »konsyljarz zgromadzenia« (może tyle co dzisiejszy prezes), dla uwiecznienia swego sprawowania urzędu, herb swój i nazwisko malował. Charakterystycznym jest ostatni dokument tej księgi, podpisany przez ówczesnego »konsyljarza«, z którego dowiadujemy się, że jeden z uczniów, »którego nazwisko niech będzie zamilczanem« — jak mówi ów dokument — przywłaszczył był sobie oprawę tej księgi, składającą się z 8 narożników, dwóch medaljonów i wspaniałych klamer, a »wszystko to z najczystszego srebra«.

W razie odnalezienia wszystkich »ksiąg zgromadzenia«, a przynajmniej ważniejszych, zyskalibyśmy ważne źródło do skreślenia ruchu umysłowego w 16 i 17 wieku w Polsce, wydanie atoli wymagałoby tych objaśnień, o których wyżej wspomnieliśmy.

E. Br.

Przegląd pism.

»Biblioteka Warszawska«. — Styczeń 1895.

A. Brückner zamieszcza w omawianym zeszycie »Biblioteki« nowy rozdział swej dawniej już rozpoczętej pracy p. t. »Źródła do dziejów literatury i oświaty polskiej«, pisząc tym razem »O pismach dziś nieznanych«. Autor zalicza do nich następujące utwory: poemat Reja p. t. »Warwas« (poświęcony kwestji kobiecej), którego żaden egzemplarz do nas nie doszedł. P. Brückner zna ten utwór z przekładu czeskiego, który za wskazówką dr. Zibrta odnalazł w Muzeum Czeskiem w Pradze. W temże muzeum znajduje się przekład utworu p. t. »Thragedya żebracza nowo uczyniona«, dotyczącego tej prawdziwej plagi XV. i XVI. stulecia, jaką było żebractwo. Artykuł p. Brücknera zawiera dalej ciekawe wiadomości i o innych nieznanych zabytkach literatury, których tu dla braku miejsca nie wyliczamy.

P. Rembowski w obszernym artykule, rozpoczętym w omawianym zeszycie, zdaje sprawę z nowego dzieła znakomitego historyka A. Pawińskiego, p. t. »Sejmiki ziemskie, początek ich i rozwój, aż do ustalenia się udziału posłów ziemskich w ustawodawstwie sejmu walnego 1374—1505«.

P. Askenazy drukuje kilka wyjątków z korespondencji poselskiej Ożarowskiego, dotyczących przedostatniego bezkrólewia w Polsce (po śmierci Augusta II.), poddając równocześnie krytyce dotychczasowe badania w tej sprawie (Szujskiego i Wojciechowskiego).

Z beletrystyki rozpoczyna »Biblioteka« powieść p. Kowerskiej »Na służbie«, w dziale poezji daje »Transkrypcje z Horacego« Górskiego. Na resztę zeszytu składają się działy sprawozdawcze oraz kroniki: londyńska i miesięczna.

p.

Z ruchu piśmienniczego.

Guttry Aleksander. **»Pamiętniki z lat 1845/47«.** Tom I. i II. Poznań. 1891/94.

Czarnowski St. **»Dziennikarstwo słowiańskie i polskie«.** Kraków.

Nałkowski Wacław i A. Swiętochowski. **Wielki atlas geograficzny**, ze skorowidzem nazw, opracowany pod redakcją . . . . Zeszyt I. Warszawa 1895. Francja 1 : 2 500.000; kraje nilowe 1 : 5,000.000.

PRO MEMORIA.

12. lutego 1798. Zmarł w Petersburgu Stanisław August Poniatowski.

15. lutego 1831. Bitwa pod Stoczkiem, w której jen. Dwernicki zdobył na Moskalu 230 jeńców, 12 armat i — 400 trupów.

16. lutego 1832. Car Mikołaj nadał Królestwu Polskiemu tak zwany »statut organiczny«, który usuwał wolność osobistą, wprowadzał ostrą cenzurę i zabór dóbr za zbrodnię stanu, znosił wojsko polskie i skarb.

17. lutego 1865. Powieszono w Warszawie Aleksandra Waszkowskiego, ostatniego naczelnika miasta z organizacji powstańczej.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.